PRZYJACIEL AUTOMATEUSZA

Pewien robot, mając wyruszyć w daleką a niebezpieczną drogę, posłyszał o wielce pożytecznym urządzeniu, które wynalazca jego nazwał elektrycznym przyjacielem. Pomyślał, że raźniej mu będzie na duszy, jeśli otrzyma towarzysza, choćby miała być nim tylko maszyna, udał się więc do wynalazcy i poprosił, aby opowiedział o sztucznym przyjacielu.
— Służę ci — odparł wynalazca. (Jak wiadomo, w bajkach wszyscy się „tykają", nawet smoków nie tytułuje się panami i jedynie do królów trzeba się odzywać w liczbie mnogiej.) To mówiąc, wyjął z kieszeni garść metalowych ziarenek, podobnych do drobnego śrutu.
— Co to jest? — zdziwił się robot.
— A jak się nazywasz, bo zapomniałem cię o to zapytać we właściwym miejscu tej bajki? — spytał wynalazca.
— Nazywam się Automateusz.
— To dla mnie za długie, będę cię nazywał Automkiem.
— Kiedy to od Automasza, ale niech ci będzie — odparł tamten.
— A zatem, mój zacny Automku, masz przed sobą garść elektroprzyjaciół. Musisz wiedzieć, że z powołania i specjalizacji jestem miniaturyzatorem. To znaczy urządzenia wielkie i ciężkie zmieniam na małe i przenośne. Każde takie ziarenko jest koncentratem elektrycznego myślenia, niezmiernie wszechstronnym i rozumnym. Nie powiem ci, że to geniusz, gdyż byłaby to przesada, podobna do fałszywej reklamy. Co prawda, zamiarem moim jest właśnie stworzyć elektrycznych geniuszów i nie spocznę, póki nie zrobię tak malutkich, aby ich można było nosić w kieszeni tysiące; dopiero kiedy wsypię ich do worków i będę sprzedawał na wagę, jak piasek, dopnę wymarzonego celu. Ale mniejsza o te moje plany na przyszłość. Na razie sprzedaję elektroprzyjaciół na sztuki i to niedrogo: za jednego biorę tyle, ile zaważy w brylantach. Przyznasz chyba, jaka to umiarkowana cena, wziąwszy pod uwagę, **że** możesz takiego elektroprzyjaciela włożyć do ucha, gdzie będzie ci szeptał dobre rady i służył wszelką informacją. Tu masz kawałek miękkiej waty, którą zatkasz ucho, aby przyjaciel nie wypadł, kiedy skłonisz głowę w bok. Czy bierzesz go? Gdybyś reflektował na tuzin, mógłbym odstąpić taniej...
— Nie, na razie wystarczy mi jeden — odparł Automateusz. — Ale chciałbym jeszcze wiedzieć, czego właściwie mogę się po nim spodziewać? Czy potrafi dopomóc w ciężkiej sytuacji życiowej?
— Jasne, przecież po to właśnie jest! — odparł pogodnie wynalazca. Podrzucił na dłoni garść ziaren, lśniących metalicznie, gdyż były sporządzone z rzadkich motali i ciągnął:
— Oczywiście, nie możesz liczyć na pomoc w sensie fizycznym, ale nie o nią przecież chodzi. Pokrzepiające uwagi, dobre i bystre rady, rozsądne refleksje, korzystne dla ciebie wskazania, napomnienia, przestrogi, jak również słowa otuchy, sentencje, dodające wiary we własne siły, oraz głębokie myśli, pozwalające sprostać każdej, jakiejkolwiek trudnej, a nawet groźnej sytuacji — oto tylko drobna część repertuaru moich elektroprzyjaciół. Są absolutnie oddani, wierni, stale przytomni, bo nigdy nie śpią, są też nad wyraz trwali, estetyczni, a sam widzisz, jacy poręczni! Więc jak, bierzesz tylko jednego?
— Tak — odparł Automateusz. — Powiedz mi jeszcze, proszę, co będzie, jeżeli mi go ktoś ukradnie? Czy wróci do mnie? Czy doprowadzi złodzieja do zguby?
— Co to, to nie — odrzekł wynalazca. — Będzie mu służył tak samo pilnie i wiernie jak poprzednio tobie. Nie możesz wymagać zbyt wiele, mój Automku, nie opuści cię w biedzie, jeśli ty jego nie opuścisz. Ale to ci nie grozi, jeżeli tylko włożysz go do ucha i będziesz miał je zawsze zatkane watą... (…)

WIELKIE LANIE

Ktoś zapukał do domu konstruktora Klapaucjusza, który uchylił drzwi, wystawił głowę na zewnątrz i zobaczył brzuchatą maszynę na czterech krótkich nogach.
— Kim jesteś i czego chcesz? — spytał.
— Jestem Maszyną Do Spełniania Życzeń, a przysłał mnie do ciebie twój przyjaciel i wielki kolega, Trurl, jako podarek.
— Jako podarek? — rzekł Klapaucjusz, którego uczucia dla Trurla były dosyć mieszane, a szczególnie nie spodobało mu się to, że maszyna nazwała Trurla jego "wielkim kolegą". — No, dobrze — zadecydował po krótkim namyśle — możesz wejść.
Kazał jej stanąć w kącie obok pieca i, nie zwracając na nią pozornie uwagi, wrócił do przerwanej pracy. Budował baniastą maszynę na trzech nogach. Była już prawie gotowa i tylko ją polerował. Po jakimś czasie Maszyna Do Spełniania Życzeń odezwała się:
— Przypominam o swej obecności.
— Nie zapomniałem o niej — rzekł Klapaucjusz i dalej robił swoje. Po chwili maszyna odezwała się:
— Można wiedzieć, co robisz?
— Jesteś Maszyną Do Spełniania Życzeń czy Do Stawiania Pytań? — rzekł Klapaucjusz i dodał:
— Potrzebuję niebieskiej farby.
— Nie wiem, czy będzie w odcieniu, jakiego potrzebujesz — odparła maszyna, wysuwając przez klapkę w brzuchu puszkę farby. Klapaucjusz otworzył ją, bez słowa zanurzył w niej pędzel i wziął się do malowania. Do wieczora zażądał jeszcze po kolei szmergla, karborundu, wiertła i białej farby oraz śrubek, a za każdym razem maszyna dawała mu natychmiast to, czego sobie życzył. Pod wieczór zakrył budowany przyrząd kawałkiem płachty, posilił się, usiadł naprzeciw maszyny na małym trójnogu i rzekł:
— Zobaczymy teraz, czy coś potrafisz. Powiadasz, że umiesz robić wszystko?
— Wszystko nie, ale wiele — odparła skromnie maszyna. — Czy zadowoliły cię farby, śrubki i wiertła?
— A, owszem, owszem! — odparł Klapaucjusz. — Ale zażądam teraz od ciebie rzeczy daleko trudniejszej. Jeśli jej nie zrobisz, odeślę cię do twego pana z odpowiednim podziękowaniem i opinią.
— A cóż to takiego? — spytała maszyna i przestąpiła z nogi na nogę.
— To Trurl — wyjaśnił Klapaucjusz. — Masz mi zrobić Trurla, takuteńkiego jak prawdziwy. Żeby jeden był nie do odróżnienia od drugiego!
Maszyna pomruczała, pobrzęczała, poszumiała i rzekła:
— Dobrze, zrobię ci Trurla, ale obchodź się z nim ostrożnie, bo to bardzo wielki konstruktor!
— Ach, rozumie się, możesz być spokojna — odparł Klapaucjusz. — No i gdzież ten Trurl?
— Co? Tak zaraz? Przecież to nie byle co — rzekła maszyna. — To musi chwilę potrwać. Trurle — to nie śrubki ani lakiery!
Jednakże nad podziw szybko zatrąbiła, zadzwoniła, w brzuchu otwarły się jej spore drzwiczki i z ciemnego wnętrza wyszedł Trurl. Klapaucjusz wstał, obszedł go, przyjrzał mu się z bliska, obmacał go dokładnie i ostukał, ale nie było żadnej wątpliwości — miał przed sobą Trurla jak dwie krople wody podobnego do oryginału. Trurl, który wyszedł z brzucha maszyny, mrużył oczy od światła, ale poza tym zachowywał się całkiem zwyczajnie. (…)

URANOWE USZY

Żył raz pewien inżynier-kosmogonik, który rozjaśniał gwiazdy, żeby pokonać ciemność. Przybył do mgławicy Andromedy, gdy jeszcze była pełna czarnych chmur. Skręcił zaraz wir wielki, a gdy ten ruszył, kosmogonik sięgnął po swoje promienie. Miał ich trzy: czerwony, fioletowy i niewidzialny. Zażegnął kulę gwiazdową pierwszym i zaraz stała się czerwonym olbrzymem, ale nie zrobiło się jaśniej w mgławicy. Ukłuł gwiazdę drugim promieniem, aż zbielała. Powiedział do swego ucznia: — Pilnuj mi jej! — a sam poszedł inne rozpalać. Uczeń czekał tysiąc lat i drugi tysiąc a inżynier nie wracał. Znudziło mu się to czekanie. Podkręcił gwiazdę i z białej stała się błękitna. Spodobało mu się to i pomyślał, że już wszystko umie. Chciał jeszcze podkręcić, ale się sparzył. Poszukał w puzderku, które zostawił kosmogonik, a tam nic nie ma, jakoś zanadto nic; patrzał i nawet dna nie zobaczył. Domyślił się, że to niewidzialny promień. Chciał poszturchać nim gwiazdę, nie wiedział jednak — jak. Wziął puzderko i cisnął całe w ogień. Wszystkie chmury Andromedy zajaśniały wtedy, jakby sto tysięcy słońc naraz zaświeciło i stało się w całej mgławicy jasno jak w dzień.

Uradował się uczeń, ale niedługa była jego uciecha, gwiazda bowiem pękła. Nadleciał wtedy Kosmogonik, widząc szkodę, a że niczego nie chciał zmarnować, chwytał płomienie i urabiał z nich planety. Pierwszą stworzył gazową, drugą węglową, a do trzeciej już mu tylko najcięższe metale zostały, wyszła więc z tego kula aktynowców. Kosmogonik ścisnął ją, puścił w lot i powiedział: — Za sto milionów lat wrócę, zobaczymy, co z tego będzie. — I pomknął szukać ucznia, który ze strachu przed nim uciekł.

A na planecie tej, Aktynurii, powstało wielkie państwo Palatynidów. Każdy z nich był tak ciężki, że tylko po Aktynurii mógł chodzić, bo na innych planetach grunt się pod nim zapadał, a kiedy krzyknął, góry padały. Ale u siebie w domu lekko stąpali i głosu nie śmieli podnieść, albowiem władca ich, Architor, nie znał miary w okrucieństwie. Mieszkał w pałacu, z góry platynowej wyciosanym, w którym było sześćset ogromnych sal, a w każdej jedna jego dłoń leżała, taki był wielki. Wyjść z pałacu nie mógł, ale wszędzie miał szpiegów, taki był podejrzliwy, i nękał też poddanych swoją chciwością.

Nie potrzebowali Palatynidzi żadnych lamp ani ogni nocą, bo wszystkie góry ich planety były radioaktywne, że o nowiu można było szpilki liczyć. W dzień, kiedy słońce zbyt dawało się we znaki, spali w podziemiach swoich gór i tylko nocami schodzili się w metalowych dolinach. Ale okrutny Architor kazał do kotłów, w których topiono pallad z platyną, wrzucać bryły uranu i obwieścił o tym w całym państwie. Każdy Palatynida musiał przybyć do pałacu królewskiego, gdzie mu brano miarę na nowy pancerz i zakładano naramienniki i szyszak, rękawice i nagolenniki, przyłbicę i hełm, a wszystko samoświecące, bo odzienie to było z blachy uranowej, a najmocniej świeciły się uszy.

Odtąd nie mogli już Palatynidzi gromadzić się dla wspólnej rady, bo jeśli zbiegowisko stawało się zbyt tłoczne, wybuchało. Musieli więc pędzić żywot samotnie, omijając siebie z daleka, w trwodze przed reakcją łańcuchową, Architor zaś radował się ich smutkiem i obciążał ich coraz nowymi daninami. Mennice jego w sercu gór biły dukaty ołowiane, ołowiu bowiem najmniej było na Aktynurii i największą miał cenę.

Wielką biedę cierpieli poddani złego władcy. Niektórzy pragnęli wzniecić bunt przeciw Architorowi i porozumiewali się w tym celu na migi, ale nic z tego nie wychodziło, bo zawsze znalazł się ktoś mniej pojętny, kto zbliżał się do reszty, aby zapytać, o co chodzi, i wskutek jego nierozgarnięcia spisek natychmiast wylatywał w powietrze. (…)

Fragmenty „Bajek robotów” Stanisława Lema